



## ZYGMUNT GLEZNER

---

Zygmunt Glezner, podporucznik rezerwy, urodzony 17 września 1911 r. w Warszawie, technik drogowo-budowlany (PKP), żonaty.

---

Po przekroczeniu granicy w Zawiasach przebywałem w obozie internowanych w Połudze, a później w Kalwarii na Litwie, skąd w czerwcu 1940 roku zostałem wywieziony do Rosji. W ciężkich warunkach transportowych przyjechałem wraz z innymi internowanymi do Kozielska (ZSRR). Nowy ten obóz położony był o około 10 kilometrów od miasta tej nazwy, stosunkowo blisko rzeki, której nazwy nie pamiętam [dopisek: rzeka Żydra], w terenie raczej pagórkowatym niż płaskim i mało zalesionym, jedynie przy wejściu do obozu przypominam sobie, że szliśmy między drzewami. Oczywiście cały obóz otoczony był parkanem z drutu, z wieżami obserwacyjnymi po rogach. Budynki to pozostałości po jakimś klasztorze – monastyrze, część murowanych, część drewnianych, a prawie wszystkie wymagające naprawy i strasznie... zapluskwione. Dopiero po własnoręcznym przeprowadzeniu remontów, wykonaniu prycz piętrowych i kilkakrotnie przeprowadzonej dezynfekcji uzyskaliśmy możliwe warunki mieszkaniowe. W rejonie obozu była pompa wodna, z której czerpaliśmy wodę do gotowania stawy i higieny osobistej. Początkowo była jedna prymitywnie urządzona łaźnia, gdzie praliśmy bieliznę i myliśmy się, po pewnym czasie wyszykowaliśmy sobie drugą łaźnię, gdzie kąpaliśmy się, a z pierwszej zrobiliśmy pralnię. Wszystkich internowanych było około 5 tysięcy: oficerowie, podchorążowie, szeregowi i policja. Ogólnie biorąc, element inteligentny, o zadowalającym poziomie moralnym (liczne wypadki skrytego przystępowania do spowiedzi) i o dość silnie rozwiniętych uczuciach patriotycznych, z nielicznymi tylko wyjątkami tworzącymi odpowiednie grupy. Najlicniejsza [była] grupa „czerwonych” (tak ich nazywano), następnie słyszałem o kilku zdeklarowanych Ukraińcach i Białorusinach i o kilku sympatykach Niemiec, którzy wychwalali siłę i organizację naszych odwiecznych wrogów. Na szczęście nie było tych wszystkich dużo, bo w sumie około

jeden do dwóch procent całego stanu obozu. Ze smutkiem tylko muszę stwierdzić, że wśród tej najliczniejszej grupy większość stanowili oficerowie. Nazwisk niestety nie mogę sobie przypomnieć. Jeżeli chodzi o wzajemne stosunki, to były poprawne, jedynie w czasie rozmów na tematy polityczne tych odmiennych grup dochodziło często do ostrej wymiany zdań. Życie w obozie płynęło monotonnie – dzień następny do dnia poprzedniego był podobny. Rano, gdzieś około siódmej (niektórzy wstawali wcześniej, inni później) pobudka i śniadanie, na które składały się: kasza lub śledź i herbata. Czas do obiadu mijał na czytaniu książek, nauce języków, grach w szachy, rozmowach i przechadzkach po obozie. Około pierwszej spożywalimy obiad składający się przeważnie z kaszy na rzadko i na gęsto. Czasem dostawaliśmy rybę smażoną czy kawałek mięsa. Całe wyżywienie można podzielić na okresy. Był okres, w którym jedliśmy kaszę, potem okres kapusty, buraków pastewnych i różnego rodzaju ryb. Po obiedzie wypełnialiśmy czas mniej więcej w ten sam sposób jak przed obiadem, z tym że czasem wypadało iść do kuchni, gdzie obieraliśmy ziemniaki lub czyściliśmy ryby. Po kolacji składającej się z herbaty i chleba następował spacer i capstrzyk. Czasem, po otrzymaniu biletu, szedłem do kina, które było w rejonie obozu, lub na rewię wystawioną własnymi siłami. Dla całości muszę zaznaczyć, że otrzymywaliśmy pakiet składający się z machorki, bibułek, zapatek i cukru z herbatą. Oczywiście dostawaliśmy w takiej ilości, że nigdy nie starczało na określony czas tzn. do drugiego fasunku. Zasadniczo do prac nie byliśmy wzywani, a tylko zajęci bywaliśmy przy robotach porządkowych w rejonie obozu i przy pracach w kuchni.

Każdy z nas był przynajmniej raz badany przez władze NKWD, przed którymi opowiadał cały swój życiorys. Rezultatem tych badań były wywożenia w niewiadomym kierunku. W ten sposób obóz nasz topniał i po wywiezieniu prawie wszystkich podchorążych i policjantów na Półwysep Kola (jak się później dowiedziałem) została nas mniej więcej połowa. Na każdy prawie blok mieszkalny przydzielony był politruk, zadaniem którego było głosić propagandę komunistyczną, badać nastroje wśród nas i meldować o tym swoim przełożonym.

Jeżeli chodzi o pomoc lekarską, to była zorganizowana możliwie dobrze. Był szpital, w którym pracowali nasi lekarze. Chorych było stosunkowo mało, a śmiertelność wśród nich dzięki Bogu nieduża. Było parę wypadków samobójstw, których powodem prawdopodobnie były ostatnie przeżycia, nerwy nie wytrzymały, ludzie dostawali obłądu. Nazwisk zmarłych niestety nie pamiętam.

Pod koniec listopada 1940 zezwolono nam na łączność korespondencyjną z krajem i rodziną. Do czasu rozpoczęcia działań wojennych Rosji z Niemcami prawie wszyscy zdążyli napisać i otrzymać kilka listów, choć wolno nam było pisać raz na miesiąc. W parę dni po wybuchu wojny między wyżej wymienionymi zostaliśmy wywiezieni do Griazowca. Życie w tym obozie płynęło podobnie jak w pierwszym, w Kozielsku. Położony on był blisko 15 kilometrów od stacji kolejowej tej nazwy, nad rzeczką, której nazwy nie znam i blisko lasu, w terenie lekko pofałdowanym. Budynki przeważnie drewniane, a ponieważ mało ich było, więc musieliśmy wybudować baraki. Wyżywienie było gorsze niż w Kozielsku, zwłaszcza pod koniec. Ponieważ razem z nami przyszły nasze kartoteki, więc niektórzy tylko byli wzywani na badania. Prawie wszyscy z grupy „czerwonych” zostali wywiezieni w niewiadomym kierunku z tego obozu i do dnia dzisiejszego nikogo z nich nie spotkałem. Jak słyszałem, mieli oni przed wyjazdem podpisywać deklaracje zobowiązujące do przyjęcia obywatelstwa sowieckiego.

Po zawarciu umowy polsko-sowieckiej 29 sierpnia 1941 roku zgłosiłem się do armii polskiej w ZSRR i zostałem zapisany przez komisję, która rozpoczęła urzędowanie na terenie byłego już obozu internowanych w Griazowcu. Z miejscowości tej wyjechaliśmy do Tatiszczewa, gdzie rozpocząłem życie żołnierza polskiego.

M.p., 7 marca 1943 roku.